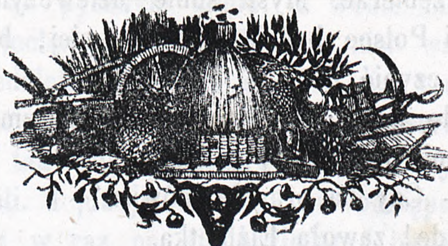
Tom III. Nr. 5.

11. Sierpnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI

król chłopków.

III. Jaki był gościnny.

Miał nasz Kazimierz trzy żony: jednej było na imię Aldona, to ta litwinka, z którą — jak wiecie — jeszcze za życia nieboszczyka ojca się pobrał. Po jej śmierci ożenił się powtórnie z niejaką Adelajdą, księżniczką. Ale niezadługo i po niej owdowiał, i pojął trzeci raz Jadwigę, księżniczkę ze Szląska. — Żadna z tych żon nie zostawiła mu syna, miał jeno kilka córek z niemi, które powydawał za rozmaitych książąt. I otóż smutno mu było samemu na starość!

Aż tu umarła mu jedna córka i zostawiła wnuczkę Elżbietkę po sobie. Skoro się Kazimierz o tem dowiedział, zaraz-ci kazał ją sobie przysłać do Krakowa, iżby się przy nim chowała. — Śliczne to było dziecko! dziadunio przepadał za swoją Elżbietką, tak bardzo ją kochał. A jak-ci już wyrosła w pannę piękną i krzepką, to swaty szły za swatami, że się po nich drzwi nie zamykały, — takie miała szczęście do ludzi.

Ale jakoś długo żaden się jej nie nadawał na męża — dopiero jak się począł sam cesarz niemiecki dobijać o jej rękę, to już trudno było przebierać. Myśli sobie dziewczyna: jak zostanę cesarzową, to i Polsce będzie z tem lepiej, bo jej nie dam żadnej krzywdy czynić.

I rzeknie do króla: — Dziaduniu! kiedym się spodobała cesarzowi, to mnie już wydaj za niego.

A król: — Czy na prawdę mówisz?

Ale naprawdę! zawoła Elżbietka.

— Ej! rzeknie król, bo nie dowierzał — chyba go nie znasz moje dziecko! cesarz już trzy żony pochował.

— Ale mnie nie pochowa, prędzej-by ja jego — odpowie królewska wnuczka i całując dziadka po rękach: — Pozwól, dziaduniu, pozwól! prosiła go — już ja sobie tak ułożyła, żeby on był moim mężem.

— Ha! powie król i pocałował ją w czoło — cóż mam z tobą robić! szkoda mi ciebie, bo szkoda, ale kiedyć już tak gwałtem chcesz, to go i bierz w imię Boże.

I powrócili swatowie z dobrą wieścią do cesarza, a Kazimierz jął gości spraszać na wesele.

I przywołał swojego szafarza, co się nazywał Mikołaj Wierzynek. Był-ci ten Mikołaj setny bogacz a w wielkich łaskach u Kazimierza; wszystkie pieniądze królewskie miał pod swoim kluczem, ale broń Boże, żeby choć na włos ukrzywdził pana swego — taki był rzetelny.

Skoro się teraz na zamku stawił, zagada król do niego:

— Mój ty Wierzynek, spodziewam się dużo gości na wesele mojej wnuczki — otóż przypilnuj zawczasu, żeby na niczem nie brakło i przyjęcie było, jak się należy.

— Dobrze, najjaśniejszy panie! odpowie Wierzynek — już ja tak zrobię, że się nie powstydzimy.

Z początkiem wiosny r. p. 1363 — więc już temu *czterysta dziewięćdziesiąt i siedem* lat — poczęli się goście z całego świata zjeżdżać do Krakowa. A goście to nie lada jacy, bo sami królowie i wielcy panowie. Jeszcze tylko brakowało samego pana młodego, to jest: cesarza niemieckiego. Aż tu jednego dnia dają znać, że i on jedzie i już jest niedaleko Krakowa.

Kopnął się tedy król nasz za miasto, a za nim i inni królowie i panowie wyjechali naprzeciw pana młodego. Wyjechała też i panna młoda na pysznym koniu, a wedle niej dużo prześlicznych panien jechało, ale ona była z nich wszystkich najpiękniejsza. — Niedaleko Krakowa spotkali się z cesarzem i mile się powitali. Patrząc na swoją narzeczoną, cesarz mało ze skóry nie wyskoczył, tak mu się stokroć jeszcze wydała ładniejszą, jak o niej mówili. I już jej na krok nie odstępował do samego domu, jeno raz w raz na nią pozierał i bawił ją swoją rozmową.

Kiedy wjeżdżali do miasta, to już prawie noc była — ale nikomu wtedy ani się śniło o spaniu. Cały Kraków był na nogach; co się na ulicy pomieścić nie mogło, wyglądało z okien, z dachów i gdzie się komu udało przyczepić; we wszystkie dzwony dzwoniono, a lud krzyczał: Niech żyje nasz król Kazimierz i jego prześwietni goście!

W takich honorach dostali się nareszcie na zamek krakowski, gdzie już pan Wierzynek przyrządził był dla cesarza i dla królów przepyszne pokoje. Zaś dla mnóstwa innych gości wyznaczono uczciwe gospody w mieście, gdzie każdy miał pomieszczenie wygodne, co się zowie, a jeść i pić, ile sam chciał.

Nazajutrz odbył się ślub państwa młodych w kościele na zamku — i dopiero po ślubie zaczęło się prawdziwe wesele. — Muzyka gra dzień i noc; toż królowie na zamku sobie, a znowu inni sobie w mieście hulają i bawią się, aż uciecha bierze. A o wszystkich pan Wierzynek, ów wierny szafarz królewski, pamięta i w imieniu króla swego gościnnie częstuje. Naschodziło się też z pobliskich wsi ludzi co nie miara na to królewskie wesele. Więc i o nich nie zapomniał Kazimierz i przykazał, aby na rynku krakowskim noc i dzień stały kadzie z miodem i piwem, a także z owsem dla koni, iżby każdy mógł sobie brać, co mu się żywnie spodoba.

Trwało to weselisko coś z dwadzieścia dni. A kiedy się mieli goście rozjeżdżać, przychodzi pan Mikołaj Wierzynek do króla, pokłoni mu się i rzeknie:

— Najjaśniejszy panie! śmiem prosić o jedną rzecz.

— Cóż takiego? zapyta król.

*

— Pozwól mi, najjaśniejszy panie! abym jeszcze na ostatek zaprosił tych gości do siebie.

Na to Kazimierz: — I owszem! prawi — powiem sam o tem cesarzowi i innym królom, i zaraz przyjdziemy do ciebie.

Mieszkał ten pan Wierzynek opodal od zamku krakowskiego. Domostwo jego obszerne i wygodne, jużcić jak u takiego bogacza — toż i było gdzie pomieścić tyla gości, co mu ich sam król przyprowadził. Pan Mikołaj stał we drzwiach i wszystkim się pięknie kłaniał. A gdy już mieli siadać do stołu i ucztować, gospodarz jeszcze raz się wszystkim pokłonił, a potem zwrócił się do króla swego i rzekł:

— Tobie, Najjaśniejszy panie! winien jestem wszystko, co mam. Tyś mój dobrodziej największy; między najpierwszymi panami posadziłeś mię w twojem królewstwie — tobie też pierwsze miejsce należy się u mego stołu.

I posadził Kazimierza najwyżej – dopiero wedle niego dał miejsce cesarzowi i dalej innym królom i książętom.

Zaczęło się ucztowanie prawdziwie królewskie. Wszystkiego było po uszy: jadła, napoju i rozmaitych przysmaków, a to wszystko podawano gościom na złotych i na śrebrnych miskach— toż królowie aże w głowę zachodzili, patrząc na takie bogactwa. A tu jeszcze nie koniec na tem! po skończonej uczcie kiwnął gospodarz na służbę i oto zaczęli znosić rozmaite podarunki dla gości. A nie były to ladajakie podarunki! sam Kazimierz dostał coś takiego drogiego, co — jak powiadają — miało bardzo wiele tysięcy kosztować. Toż samo i cesarz i drudzy królowie, i zgoła już wszyscy panowie, bawiący tam, podostawali drogie podarunki, i jeszcze im pan Wierzynek dziękował, że raczyli pod jego dachem ucztować.

Już tedy czas był wielki, aby się goście rozjechali, bo już prawie cały miesiąc na tem weselisku bawili. Jęli więc zbierać się w drogę i mówią do Kazimierza:

— Bywaj zdrów!

A on im na to: — Poczekajcie! przecież was tak nie puszczę bez niczego. Kiedyć się tak hojnie popisał mój Wierzynek, co jest jeno moim szafarzem, toć i mnie królowi nie

wypada być gorszym od niego. Chodźcież do mojego skarbca, niech wam cokolwiek podaruję na pamiątkę.

To mówiąc, ujął cesarza za rękę, a innych królów i panów poprosił za sobą. I zaprowadził ich do jednego sklepu w zamku, co się nazywał królewskim skarbcem. A skoro tam weszli, ukazał im dużo beczek złota i śrebra, i innych drogich rzeczy.

— Oto patrzcie! mówi — jako nam tu w Polsce Pan Bóg błogosławi, że takie bogactwa posiadamy a bez niczyjej krzywdy. Bierz-że sobie cesarzu, do woli! i wy królowie, jako też i wy panowie patrzcie, coby się wam najbardziej spodobało w moim skarbcu — niechaj wam to służy na pamiątkę, iżeście byli u króla Kazimierza w Krakowie na gościnie.

Tak dopiero obdarowawszy hojnie każdego, pozwolił im wracać do domu.

Wyruszył cesarz z żoną swoją Elżbietką z Krakowa — zapłakała Elżbietka a cesarz ją cieszył, ale długo nie mógł ją pocieszyć, co tak żałowała za Polską i za dziaduniem.

Wyruszyli i wszyscy inni z Krakowa, i tak sobie przymawiali po drodze: — Toż-to mi król gościnny, ten Kazimierz! a co za bogactwa w tej Polsce, hej! hej!.....

STARA ALE DOBRA PIOSNKA.

Głód, powietrze, ogień, woda
I wszelaka zła przygoda
Będą tomu — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Zwierz drapieżny do obory,
Między stada czarne mory
Wejdą tomu — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Chorobą się rozniemoże,
I boleści twarde łoże
Zwiąże tego — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

A gdy skona, garści ziemi,
Gdzieby spoczął kośćmi swemi,
Nie dostanie — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Marnie zginie! wiatr rozmiecie
Prochy jego po wszem świecie.
Marnie zginie! — ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Cudowne drogi Opatrzności.

Według legendy o kościele Panny Maryi, na Smoleńsku w Krakowie,
opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Już-ci nie na dziesiątki, ale pono na setki liczyć lat temu, kiedy w całym Krakowie znano żyda Szmula z Kazimierza. A był-ci to z pozoru ot zwyczajnie żydzisko, jak wszyscy inni, z brodą po pas, z pejsami po brodę, w berłydku, lisiej czapce i długim kaftanie, alić co do majątku to sztuka nie lada, nikt pewnie nie dorównał mu na Kazimierzu, a co dziwna, pod względem rzetelności i uczciwego obchodzenia, to pono nie powstydził się i przed żadnym z chrześcian.

I snać ztąd pochodziło, że Bóg mu błogosławił we wszystkich handlach i sprawach, a trzeba wiedzieć, że handlów i spraw tych różnorakich miał Szmul nie mało, bo już-to handlował wszystkiem, co mu się tylko nasunęło pod rękę. Skupował i zboże i skóry i wódki i kilka aręd trzymał po wsiach i miał młyny swoje w pobliżu Krakowa.

A jak szczęśliwym w handlu, tak szczęśliwym był też i w życiu domowem. Miał żonę dobrą i gospodarną, i kilkoro dzieci dorastało mu w lata. I pewnego razu, kiedy patrzył się na swe dzieci, poczciwy Szmulisko musnął się po brodzie i rzekł sam do siebie:

— Hm, trzeba-by coś pomyśleć około tych bachorów. Trzymam-ci im belfera, aby się uczyli po żydowsku, alić kiedy mieszkają w polskim kraju i jedzą chleb z polskiej ziemi, toć

wypada, aby umieli dobrze po polsku i nauczyli się kochać ten kraj wspaniałomyślny i tę ziemię dobroczynną, która ich do siebie przyjęła i żywi tak hojnie!

Więc też nie namyślając się długo, zaraz nazajutrz rzucił się po całym Krakowie, aby znaleźć jakiego nauczyciela, coby bachorów jego wyuczył po polsku.

Alić nie łatwo-to było znaleźć kogoś w owym czasie, coby chciał stanąć za nauczyciela u żyda. Biedny Szmulisko już stracił nadzieję i myślał, że mu się nie uda tak chwalebny zamiar, kiedy w tem, przechodząc przez ulicę, spotkał jakiegoś studencika w podartych butach, obszarpanych sukniach, z książką pod pachą a głębokim smutkiem na twarzy.

Szmul pogłaskał się po brodzie, poprawił lisiej czapki na głowie i odezwał się do biednego studenta:

— Waspan, waspan, słuchaj-no waspan! czego to waspan tak, z przeproszeniem, ma jakiś frasunek na głowie?

Student spojrzał na żyda i uśmiechnął się gorzko.

— At, rzekł smutnie — co wam się pytać.

— No, widzisz waspan — przemówił Szmul, podsuwając się bliżej — ja sobie jestem żyd, ale ja taki mam ludzkie serce, może-by ja waspana mógł poratować.

Student wypatrzył się zdziwiony na żyda, ale widząc, że twarz jego wydaje się jakaś ludzka i poczciwa, więc zrzuciwszy pychę z serca, opowiedział mu krótko, że jest synem biednego chłopa, że chodzi do szkół w Krakowie i uczy się pilnie, ale cóż, kiedy niema żyć z czego i ubrać się w co, i nie może sobie kupić wszystkich książek, jakich potrzebuje.

A Szmul na to: — Słuchaj-no waspan! ja waspanu dam wszystko, co waspan potrzebuje, i jeszcze waspan będzie mógł posłać s w e m u r o d z i c ó w, ale niech waspan nauczy po polsku moich bachorów, bo ja chcę, aby oni kochali kraj i ziemię, na której się urodzili.

Jakoś się zawahał na razie biedny student; ale jak mu zaczął Szmul dogadywać, a prosić a kłaniać się, ta i przystał na koniec. I wkrótce się przekonał, że nie miał czego żałować. Szmul mu płacił dobrze i regularnie, i poważał go jak swego dobrodzieja, a bachory uczyły się po polsku, że aż miło. Żal

tylko było studentowi, że Szmul i jego dzieci są żydami, i nie wierzą w naszego Zbawiciela, który krwią swoją wykupił ludzi z grzechów. Więc też raz nuż namawiać Szmula, by się dał wychrzcić i uwierzył w Jezusa.

A Szmul się uśmiechnął, musnął po brodzie i pokiwał głową.

— Daj-no waspan temu pokój — rzekł — jakby waspan był biskupem w Krakowie, ny, to co innego, jabym waspana posłuchał, ale teraz nie mówmy o tem.

Poczciwy student nie próbował już drugi raz namawiać na próżno, a kiedy wyuczył dobrze po polsku dzieci Szmula, rozstał się z nim po przyjacielsku i chodził dalej do szkół w Krakowie, a Szmul trudnił się swoim handlem i po kilku latach zapomniał zupełnie o biednym studencie.

I rok po roku minęło lat ze trzydzieści. Szmul się postarzał na piękne, a że to — jak mówią — ze szczęściem nie może żaden człowiek brać ślubu, więc też i jemu na starość na gorsze zakroiło się czasy. Coraz wiedło mu się jakoś gorzej, tracił na handlu, tracił na arędzie, kilka razy popaliły mu się młyny, i ktoby powiedział, ten dawny bogacz Szmul zeszedł po latach trzydziestu z kretesem na biedę i zaledwie mu tyle pozostało z dawnego majątku, że mógł arędować małą karczmę w dobrach biskupich.

Ale i tu odwróciło się od niego szczęście całkowicie, tracił i tracił coraz więcej, ba, przyszło nawet do tego, że już nie miał czem zapłacić raty i trza mu było w nędzy schodzić z arędy.

W ciężkim smutku nie pozostało mu nic innego, jak udać się do samego biskupa, co właśnie świeżo był nastał, i prosić go o miłosierdzie dla siebie i swych dzieci. Na jego szczęście nowy biskup był dla wszystkich bardzo łaskawy i przystępny, nie trudno mu więc było doprosić się posłuchania.

Ale kiedy stanął przed biskupem, tak się biedny żydzisko pomieszał, że nie śmiał ani oczu podnieść do góry. Kłaniał się tylko do samej ziemi, i niezrozumiale prawie bełkotał swoją prośbę.

A biskup człek jeszcze w niepodeszłych latach, poważny i wspaniały w całej postawie, słucha uważnie słów proszącego, i coraz baczniej czegoś przypatruje się jego twarzy. Naraz uśmiechnął się radośnie i przystępując bliżej do lamentującego żyda, przemówił łaskawie:

— Przypatrz-no mi się dobrze, mój Szmulu!...

Szmul zdziwiony, że jaśnie wielmożny ksiądz biskup zna go po imieniu, podniósł oczy i obiema rękami chwycił się za pejsy:

— *Ach waj!* — zawołał, trzęsąc się cały — to to wasan! *uf majne munes*, wasan! chcę powiedziewać jaśnie wielmożny wasan — poprawiał się przestraszony — *ach waj, hast di gewidziołt*, to jaśnie wielemożny wasan jest jaśnie wielemożnym panem ksiądz biskup!

A biskup uśmiecha się łaskawie i rękę położył mu na ramieniu.

— Przypominasz sobie Szmulu, coś powiedział do mnie przed trzydziestu laty?

— Ny, czemu nie; ja powiedziałem, jak wasp... chcę mówić jaśnie wielmożny pan ksiądz biskup będzie jaśnie wielmożnym panem ksiądz biskup, ny, to ja się będę ochrzcić.

— I cóż teraz mówisz na to? — zapytał biskup dalej.

— Ny, co ja mogę mówić na to, proszę wasp... jaśnie wielmożnego pana ksiądz biskup — odpowiedział żyd upadając na kolana — kiedy to już Pan Bóg tak zrobił, ny, to już ja nie żyd, niech mnie i całą moją famulią wasp.., chcę mówić jaśnie wielmożny pan ksiądz biskup będzie chrzcić — dokończył bijąc się w piersi.

I cóż długo mówić, nasz poczciwy Szmul nawrócił się na naszą świętą wiarę, i wraz z żoną i dorosłym synem przyjął chrzest przenajświętszy.

Szlachetny biskup puścił mu zaraz jedną wieś w dzierżawę, a w jednej chwili opuściło go dotychczasowe nieszczęście i na nowo zaczęło mu się wieść jak najlepiej. Za parę lat niedawny biedny arędarz Szmul uciułał sobie uczciwie i godziwie tyle grosiwa, że na pamiątkę swego cudownego nawrócenia wybudował w Krakowie własnym kosztem kościół murowany.

Kościół ten zwał się z początku kościołem szmuleńskim,

a i od niego nazwano tę część miasta, gdzie stał, Szmuleńskiem; dziś zaś po tylu latach przeinaczyła się ta nazwa Szmuleński w Smoleński i kościół nie nazywa się już kościołem szmuleńskim, ale kościołem Panny Maryi na Smoleńsku!

Ciekawy Wojtuś.

Żelazo.

Rymarz Walenty trudnił się wojaczką za swoich lat młodych. Był on wtedy we warsztacie jako czeladnik, a że się naówczas wszystko do Kościuszki garnęło, tak-ci i on porzucił rymarstwo a dał drapaka na wojenkę. Smutne-to były czasy dla nas, choć się na lepiej zanosiło; więc i Walenty nieskory był opowiadać o tych swoich młodych latach, chyba takiemu, co mu już bardzo do serca przypadł; a wtedy stawały mu świeczki w oczach i łza jedna za drugą po twarzy się sunęła.

Łatwo było więc zgadnąć, że Walenty za młodu wojowali, bo nad jego łóżkiem wisiała stara szabla, na mało już zdatna, ale jako pamiątka tych krwawych czasów. Zwała się ona *brzytewka*, a należało to do Wojtusia czyścić ją zawsze wiedeńskiem wapnem, żeby się błyszczała. Owóż Wojtuś zabaczył raz jakoś o tej swojej powinności i szabla wisiała sobie może z miesiąc nieruszana. Pouważał to Walenty i ozwał się do Wojtusia:

—Słuchaj-no chłopcze! ponoś ty mojej *brzytewki* dawno już nie oglądał.

— O, prawda! zawołał Wojtuś, jako że był szczery chłopak i kłamać nie umiał. Skoczył więc duchem i zdjął szablę z nad łóżka, żeby się wziąść do niej. Wybiegnął z nią na podwórze, przyrządził sobie wszystko i wziął się wyciągnąć ją z pochwy, a tu nie idzie. Co się nie namordował, co się nie nakręcił — ani rusz. Zawstydził się chłopak, że szabli wyciągnąć nie umie, ależ nie było rady, musiał pójść ojca poprosić. Czerwony więc jak burak poskoczył do izby z *brzytewką*.

— Tać nie mogę *brzytewki* z pochwy wyciągnąć — odrzekł Wojtuś, prawie że płaczący od wstydu.

— No, to nie ma dziwoty, skoro zardzewiała — odezwał się Walenty i wstał od roboty. — Pokaż ją tu.

Wziął więc pan rymarz *brzytewkę* i musiał się tęgo oprzeć, nim ją z pochwy wydobył. A tak nagle się wysunęła, że o mało co okulary z nosa mu nie spadły. Popatrzył się Wojtuś, a tu szabla prawie cała czerwona.

— Mój tatusiu! a to co takiego, że taka czerwona? zapytał chłopak ciekawy.

— Hej, skórka na bóty! odpowiedział Walenty i pogroził Wojtusiowi — dobrze z miesiąc nie musiałeś ją ruszać, a możeś jeszcze i nieotartą do pochwy wsadził, że ją tak rdza chwyciła.

Zaturbował się chłopiec, ale już był ciekawy czegoś, bo mu się oczy zaczęły świecić. Pocałował więc ojca w rękę, przeprosił, ale się zaraz zapytał:

— Mój tatusiu, a czemu też to żelazo raz takie, że się aż świeci, a to znowu takie czerwone. Co to jest to żelazo?

— Jak mi dobrze *brzytewkę* oczyścisz, to ci powiem wieczorem — rzekł Walenty i siadł do roboty. Chłopiec zaś porwał szablę i wybiegł na podwórze.

Wieczorem po robocie usiadł rymarz ze synem, jako że chciał dotrzymać słowa chłopakowi, bo *brzytewka* jak lustro świecąca wisiała nad łóżkiem.

— Już siedzę, tatusiu! ozwał się pierwszy Wojtuś, ciekawy na historję o żelazie, bo widział, że ojciec nic nie mówi, tylko się zamyślił głęboko.

— Aha, już siedzisz; zagadał Walenty i zaczął mu opowiadać:

Owóż, mój chłopcze! żelazo wykopuje się z ziemi. Nie znajdziesz tam ani szabli, ani kozika gotowego, to dopiero ludzie sobie robią; nawet samo żelazo w ziemi nie jest czarne ani łyszczące tak, jako go codzień widzisz. Żelazo w ziemi jest takie, jak ta rdza, coś z niej wyczyścił dzisiaj *brzytewkę*. Więc jest czerwone, a to, zwykle jak w ziemi, pomieszane z gliną, z wapnem i Pan Bóg tam wie, z czem jeszcze. Trafia się

także i czarne w ziemi, ale rzadko. A to widzisz, jak naprzykład drzewo, gdy go w ziemię zakopiesz, to zgnije i zrobi się z tego próchno; tak i żelazo odmienia się w ziemi, a do tego we wilgotnej. Ta jest tylko różnica, że z próchna drzewa nie zrobisz, a takie zgniłe żelazo możesz znowu w dobre zamienić.

— A cóż trzeba z niem robić? zapytał ciekawy Wojtuś.

— Wszystko to żelazo, co go widzisz, jest z takiego ziemnego, czerwonego, wyrabiane, co się zowie *ruda żelazna*. Dzieje się to za pomocą ognia. Stawiają do tego ludzie naumyślnie ogromne piece, na dziesięć a czasem i na dwadzieścia łokci wysokie, a taki piec jest w środku szeroki, a u dołu i u góry węższy. Więc kiedy nakopią *rudy* i przebierą, co lepsze, tak zapalają naprzód w onym piecu, żeby się rozgrzał, potem sypią węgli, czy to z drzewa palonych, czy kamiennych, do pełna, a z góry dosypują rudy żelaznej, i znowu węgli, znowu rudy, jak opadnie. Muszą być do tego u dołu stosowne otwory, żeby był przeciąg, bo trzeba, żeby się to prędko paliło. Pomyśl więc sobie, co to musi być za gorąco, kiedy owa ruda żelazna jako wosk się topi, a żelazo już czarne na dół spływa. Dodają czasem do rudy żelaznej krzemieni albo piasku, a wiesz już o tem, że jak się piasek z popiołem topi, to się szkło robi; więc na to dodają do tego, żeby ono szkło roztopione po żelazie pływało. Trzeba ci bowiem wiedzieć że żelazo może się na powietrzu, a przytem w takiem gorącu znowu w czerwoną rudę zamienić. U spodu takiego pieca jest jedna dziura, którą może stopione żelazo odpływać. Więc tę dziurę zalepia robotnik gliną, zaczem zacznie palić. Zaś potem, kiedy już widzi, że musi być dużo stopionego żelaza, przebija glinianą skorupę żelaznym drągiem i spuszcza żelazo do osobnej formy, kędy ono stygnie. Fabryki te, gdzie wytapiają żelazo, zowią się *huty żelazne*, a budują się w takich miejscach, gdzie jest blisko ruda.

— A gdzie też jest ta ruda? zagadał znowu Wojtuś.

— Ta ruda, mój chłopcze! znajduje się po górach, jako w naszych Karpatach po niżej Wadowic. Trafia się także po moczarach, a wtedy w tych miejscach widzisz dno u wody czerwone albo żółte. W każdej glinie jest trochę żelaza, to też

jak wypalą cegły, to są one czerwone dla tego, że to żelazo w nich w taką czerwoną rdzę się zamienia.

Żelazo wytopione w hucie nie jest przydatne na narzędzie; leją z niego koła i inne przyrządy do młocarni i innych maszyn, ale noża albo szabli nie zrobi z takiego *lanego żelaza*. Więc są znowu inne fabryki, a te zowią *hamernie*, kędy wyrabiają *kute żelazo*. Do tego topią jeszcze raz owo surowe żelazo, a do topienia dodają znowu wapna, gliny, także i soli. Chodzi tu o to, że w lanem żelazie jest jeszcze dużo węgla, zkąd też jest ono bardzo kruche. Po drugiem topieniu, już w inaczej urządzonych piecach, pali się do reszty węgiel, a żelazo ścieka na dół czyste. Kiedy jest jeszcze miękkie, biorą robotnicy po sztuce i kładą pod ogromne młoty żelazne i walce, kędy się ono w sztaby wyciąga. Z tych więc sztab żelaznych robią potem kowale, ślusarze, nożowniki i inni majstrowie to, co im potrzeba. Widziałeś przecie nieraz, jak kowal podkowy robi. Rozpala on sobie wtedy sztabę na jednym końcu i z gorącej wykuwa młotem na kowadle, co mu się podoba. Jeżeli zaś chce, żeby jakie narzędzie bardzo twarde było, to go rozgrzewa mocno i kładzie zaś prędko do wody. Zowie się to: *hartować żelazo.*

Na szable, kosy, noże, brzytwy i podobne narzędzia najlepszą jest *stal*. Ta stal jest-to czyste żelazo, w którem zostało jeszcze trochę węgla. Toż taka stal jest krucha i nic-byś z niej nie potrafił wykuć; ale za to jest twarda i da się wyostrzyć tak, że włos w powietrzu przetnie.

Teraz powiem ci jeszcze, gdzie są u nas takie huty i hamernie. Więc w *Suchej* poniżej Wadowic, i w *Zakopanem* już w samych Tatrach, i wedle *Buska* nad rzeką *Bugiem* na Rusi i w innych miejscach. W górach za *Sandomierzem* dużo jest jeszcze takich fabryk.

Przestał na tem pan Walenty, a Wojtuś, jako że zawsze ciekawy, już otworzył gębę i chciał się o coś zapytać, kiedy właśnie matka do izby weszła, wniosła coś na talerzach i zawołała do wieczerzy. Dymiło się z tych talerzów i coś bardzo przyjemnie zaleciało Wojtusiowi do nosa, więc już dał spokój i zabrali się z ojcem do jedzenia.

Grześ z Mogiły.

Plotki.

— O dla Boga! kumosieńko — zawołała Grzesina do Kędziorki — co wam też powiem: a to Stach się będzie żenił z Marynką. Już po zmówinach, czternaście kwart wódki na nich wypili, a na zapowiedź to Klemek zaniósł dobrodziejowi. Wesele cały tydzień będzie trwało, a Maryśki matka dwadzieścia gęsi kupiła na jarmarku. Macież oto, wasza Jewka zostanie na koszu.

— Moja piękna, odpowiedziała Kędziorka — już eście znowu do mnie z bajkami przyszli. Moja Jewka to jeszcze smarkata, a Stachowi to się ani śniło o żenieniu, a jeszcze z mojem dzieckiem, bo nawet niezadługo pono musi iść do żołnierzy. Nie gniewajcie się, ale wam powiadam że to wszystko bajki — pewnie wam się śniło.

— Oj, nie bajki to, kumosieńko, nie bajki! odezwała się Grzesina — kiedy wam powiadam, że mi się nie śniło. Przeciem słyszała, jak Szmurka opowiadała Różalce, gdy szły z targu. Szłam za niemi z wolna, nie spostrzegły mnie i wysłuchałam wszystko.

— I cóż ztąd? rzekła z niecierpliwiona Kędziorka — niech się i żenią, ja się nie lubię opiekować drugiemi, ale przysięgłabym nie raz, ale sto razy, że to wszystko nieprawda.

— Bodaj-że was też kaci wzięli, kiedy mi nie wierzycie! zawołała Grzesina — a toć żem słyszała, jak gadała o Stachu, o Marynce, o gęsiach, jarmarku i wódce. Prawda, żem nie dosłyszała, żeby mówiły o żenieniu, aleć się też reszty łatwo można domyśleć, bo widziałam nawet sama, jak Klemek szedł do dobrodzieja.

— No i cóż, że szedł do dobrodzieja — rzekła Kędziorka — albo-to tylko ludzie do dobrodzieja chodzą, kiedy mają dać na zapowiedź?

— A i cóż-by on u księdza robił? przerwała jej Grzesina — powiedźcie sami, przecie on jest Stacha opiekunem!

— Kiedy więc wiedzieć chcecie — odpowiedziała Kędziorka — co robił Klemek u dobrodzieja, to wam powiadam, że był po metrykę dla Stacha, ale nie nosił na żadne zapowiedzi. A zaś

matce Maryśki w wiliją jarmarku, ukradziono dwadzieścia gęsi; poszła zatem na jarmark ich szukać, lecz nie kupować, jak powiadacie; a zwówiny i czternaście kwart wódki toście sobie sami zmyślili.

Tymczasem Kędziorek nadszedł do izby, a Grzesina niebawem zabrała się i poszła, zapewne do innej kumoszki ze swojemi bajkami. —

Tak to nie jedna gosposia, zamiast coby się miała trudnić domowem gospodarstwem, to się jeno trudni plotkami. Chwyta na powietrzu słowa, roi sobie w głowie Bóg wie co i nasiawszy nowin, coby ich na dwa wozy nie zabrał, włóczy się od chaty do chaty, od kumoszki do kumoszki, wszystkich częstuje swemi nowinami, i przez to częstokroć staje się powodem kłótni i gniewu między sąsiadami, krewnymi i przyjaciołmi. Taka plotkarka wie, co się w całej wsi dzieje, co kto je i pije — ale nie wie, co się w jej domu dzieje. Zamiast być dobrą żoną, gospodynią, matką, staje się kłopotem męża, zakałem domu i zgorszeniem dzieci. I jakże! czyż nie prawdę ja mówię?... Nie w jednym domu szło-by lepiej gospodarstwo, dzieci byłyby i zdrowsze i grzeczniejsze, gdyby gosposia była skrzętną, pracowitą, o dobro domu dbałą, a nie o plotki i ich rozsiewanie.

(*Sz. N.*)

Rady lekarskie.

Na odmrożenie. Zdarza się to często, że sobie ludzie na zimnie nogi, ręce, nos albo uszy odmrażają. W takim przypadku niechaj się strzegą zaraz ogrzewać, albo maściami okładać one członki odmrożone, boby im to na złe wyszło. Przedewszystkiem należy wypędzić mróz z tego członka odmrożonego, jeśli nie chcą, żeby się im w to miejsce rzuciła gangrena. Otóż wara od ciepłego pieca i ognia! ale trzeba sobie tak radzić: Naprzód, jeśli zima mokra i śniegu jest dosyć, to tym śniegiem nacieraj sobie ciało odmrożone póty, aż się dobrze nie rozgrzeje i nie nabierzesz w niem czucia — to już będzie znak, że w ciele mrozu nie ma. Jeśliby zaś śniegu nie było na podorędziu, to użyj do tego wody, ale prosto z pod lodu. Także zimna kapusta

dobra jest na odmrożenie, aby ją przykładać. Jakże już poczujesz ciepło w tem miejscu, co go mróz zachwycił, wtedy kładź się do łóżka, byle nie w ciepłej izbie — napij się herbaty z kwiatu bzowego, i tak sobie spoczywaj przez kilka godzin pod dobrem przykryciem, aż się nie spocisz. I da Bóg, to już zdrów wstaniesz, mój człeku.

Aliści zdarza się i to, że sobie który odmroził ręce albo nogi, a nie poradził sobie zaraz tak, jak należy. Więc z tego porobiły mu się rany i wielce na nie cierpi nieborak a pozbyć się ich na żaden raz nie może. Owóż temu poradzimy znowu taką maść, co i nie wiele kosztuje a bardzo jest dobra. Robi się ona w ten sposób: Weź kawał lodu i wybierz w nim dołek. Do tego dołku daj na spód odrobinę wosku, potem urznij listek słoniny, ale coby nie był grubszy od naszej *dwukrajcarówki* dawnej. W ten listek natyka się z jednej i z drugiej strony owsa; potem zapala się świeca albo kaganek, i nad tym ogniem topi się słoninka, ale tak, iżby się wraz i owies palił. Jak już zacznie kapać tłustość, postaw pod nią lód i uważaj, żeby prosto kapała do onego dołku z woskiem. Dopieroż z tego zrobisz maść, rozsmarujesz ją cieniutko na kawałku płótna i przykładać będziesz co rano, południe i wieczór na odziębione ciało. Przytem trzeba się ciepło trzymać. I zobaczysz, że ci się w krótce lepiej zrobi; takowa maść odziębliznę wyciągnie i rany zagoi.

RÓŻNOŚCI.

Odważny Sobek. Wielką miał ochotę Sobek zostać żołnierzem, bo mu się okrutnie wojacki mundur spodobał; ale że nie dostawał do miary, kazano mu iść do domu. Długo on sobie, wracając nad tem głowę łamał, czemu to małych ludzi do wojska nie potrzebują, i nie mógł nic wyłamać. Dopiero kulawy Wojtek go objaśnił:

— Głupiś! powiada — jakże ich mają brać? dyć-by do nich z harmat nie mogli strzelać.

— Aha! to to temu — odezwał się Sobek — Bogu-ż dzięki, żem też nie urósł.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.